

WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

[16]

DLA DZIECI.

POGADANKA O SZTUKACH PIĘKNYCH.

III.

Sztuka u Fenicyan.

Naród fenicki, który w starożytności niepospolitę używał sławy, bardzo nie wiele zabytków pozostawił po sobie. Wiemy z dawnych opisów, że wyroby Fenicyan, zwłaszcza garncarskie i metalowe, rozchodziły się po całym świecie i wysoko były cenione. Homer wspomina opisując świetne igrzyska wyprawiane na cześć Patroklesa, że nagrodą zwycięzcy było naczynie srebrne, rzniete przez Sydończyków, najbiedniejszych w świecie rzeźbiarzy. Wiadomo także, iż Salomon, rozpoczynając budowę świątyni jerozolimskiej, z Tyru sprowadzał robotników najzdolniejszych.

I dziś jednakże trudno bardzo dokładnie określić styl fenicki, odróżnić w nim cechy odrębne i charakterystyczne. Pochodzi to stąd, że Fenicyanie w rzeczywistości nie mieli własnych pomysłów w sztuce, tylko umiejętnie naśladowali innych, głównie zaś Egipcyan i Assyryjczyków.

Stosunki pomiędzy różnemi narodami najsku-

teczniej dopomagają do rozwoju cywilizacji, a Fenicyanie niezmiernie się przyczynili do utrzymania tych stosunków, gdyż statki ich krażyły ustawicznie po wszystkich morzach i przenosiły z miejsca na miejsce, nie tylko płody różnych krajów, ale i nabytki nauki i sztuki. W tém leży największa ich zasługa i główne znaczenie w dziejach świata.

Przez kilka wieków wyrabiano w Sydonie i Ty-

rze mnóstwo posągów i naczyń, które dziś odkopują na wybrzeżach morza Śródziemnego, na wyspach, a zwłaszcza w Kandyi i Cyprze. Na tej ostatniej wyspie odkryto niedawno niewyczerpane skarby starożytnych zabytków, które o sztuce fenickiej dały dokładniejsze wyobrażenie.

Cypr położeniem swoim w głębi obszernej zatoki od najdawniejszych czasów wabić musiał do siebie żeglarzy, wypływających od wschodnich wybrzeży.

Tam znajdowali oni najdogodniejszy przystanek, dążąc ku zachodowi. Była to jakby stacya pośrednia pomiędzy Azją i Europą. Fenicyanie usadowili się zapewne na Cyprze jeszcze przed założeniem licznych kolonii na wybrzeżach europejskich. Pierwsi osadnicy greccy, także z Azji przybywający, prawdopodobnie zatrzymywali się



Margrabi de la Grange d'Arquin, pan na Beaumont i Montigny. (str. 230).
(portret ze zbiorów é. p. Konst. Świdzińskiego).

na tej wyspie, która leżała po drodze, a ponieważ zastali tam już silnie ugruntowaną cywilizacją fenicką, więc posuwając się dalej na zachód, wynosili stąd wiele pożytecznych nabytków dla rolnictwa, przemysłu i sztuki.

Cypr przechodził różne koleje; był czas jakiś pod panowaniem Egipcyan, potem Asyryjczyków, zawsze jednak handlarze fenicycy licznie się tam trzymali, a gdy w końcu wyspa przez Greków została zaludniona, i wtenczas przeważały wpływy Fenicyan w religijnych obrządkach i obyczajach.

W wiekach średnich, w czasie wojen krzyżowych, Cypr zajaśniał nową świetnością pod panowaniem chrześcijańskich władców z rodziny Lusignan. Zabudowano tam miasta wspaniałe, a stawiając nowe gmachy, skrzętnie rozbierano stare zwaliska, zabierano z nich materiał budowlany i zacierano ślady dawniejsze o ile możności. Wszystko, co nie uległo zupełnemu zniszczeniu, zapadło w głąb' ziemi i zasypane zostało wiekowym pyłem, jak to zazwyczaj bywa ze starożytnymi zabytkami.

Cypr, oddalony od brzegów europejskich, niezbyt często był odwiedzany przez nowożytnych podróżników, a jeśli kto tam zajązła, spotykał na każdym kroku resztki budowli średniowiecznych, nikomu więc na myśl nie przyszło szukać dawniejszych szczątków. Wiedzano wprawdzie z opisów greckich pisarzy o wspaniałych świątyniach tej wyspy, ale teraz na ich miejscu wznosiły się wszędzie gotyckie wieżycy i zameczki obronne z czasów rycerskich. Któż mógł się spodziewać, że zabytki daleko dawniejsze ukrywały się w głębi ziemi? Czasem wprawdzie rolnik zaczął lemieszem o posążek kamienny lub gliniany, a ten przechodząc z rąk do rąk dostawał się do któregoś ze zbiorów starożytności w Europie. Ale przez czas długi żaden ze znawców sztuki nie zwracał na te zabytki szczególnej uwagi i nie ocenił cech ich odrębnych.

Po raz pierwszy w r. 1845 archeolog niemiecki Ludwik Ross, powołany przez króla greckiego na profesora akademii w Atenach, zaczął się bliżej przypatrywać starożytnościom cypryjskim i udało mu się, zwiedzając tę wyspę, nabyć od mieszkańców znaczną ilość małych posążków glinianych i odłamków większych posągów kamiennych. Odesłał to wszystko do muzeum berlińskiego, pierwszy też spostrzegł, że te wykopaliska są pochodzenia fenickiego i mogą dostarczyć wiadomości o sztuce tego narodu, tak mało dotychczas znaną.

Odtąd zaczęto coraz liczniej gromadzić w muzeach europejskich cypryjskie starożytności, posążki, tablice z napisami, monety, ale dopiero w ostatnim lat dziesiątku poszukiwania, na wielką

skale prowadzone, obfite przyniosły żniwo dla nauki. Pewien bankier angielski, Hamilton Lang, spędził lat kilka na wyspie Cyprze dla interesów handlowych. Zajęty go bardzo ciekawe wykopaliska i zaczął skupowywać od wieśniaków różne zabytki, a ci, spostrzegłszy, że owe posążki i odłamki łatwy i korzystny zbyt znajdowały, zabrali się do grzebania ziemi z takim zapałem, jak w Kaliforni poszukiwacze złota.

Anglik ten odkrył między innymi całą świątynię, a w niej mnóstwo posągów rozmaitych rozmiarów, kamienia, brązu i gliny, rozliczne ozdoby z emalii, a w kryjówce osobnej, zapewne skarbcu świątyni, znaczną ilość srebrnych monet z napisami, Muzeum starożytności w Londynie nabyło te wszystkie zabytki.

Ale najbogatszy zbiór wykopalisk cypryjskich dostał się Amerykanom i znajduje się w muzeum w Nowym Yorku. Hrabia Palma di Cesnola, Piemontczyk, zamieszkały w Stanach Zjednoczonych, odznaczył się w wojsku amerykańskim, a potem mianowany został konsulem na wyspie Cyprze. Była to pora, gdy wszyscy tam zawzięcie kopali i pan di Cesnola rozpoczął także poszukiwania, które z nadzwyczajnym zapałem prowadził, nie żalując kosztów. Przeszło stu robotników pracowało pod jego rozkazami, odkrycia szybko następowały po sobie, a willa konsula amerykańskiego zamieniała się wkrótce w muzeum starożytności.

W miejscu, gdzie stało niegdyś dawne miasto Golgos, odkopano mury ogromnej świątyni. Na znacznej przestrzeni stały tam rzędami piedestały, przy nich spoczywały obalone posągi, obliczem zwrócone do ziemi, pokryte warstwą gruzów i popiołów. Gdziekolwiek widać było szczątki niedopalonych kłoców drewnianych. Zdawało się, że gmach runął w skutek trzęsienia ziemi, a pożar dokonał dzieła zniszczenia. Długie wieki składały się zapewne na przyozdobienie wspaniałej świątyni, gdyż posągi, w liczbie kilkuset, widocznie z różnych epok pochodzą. W jednych znać naśladowanie stylu egipskiego, w drugich assyryjskiego, a inne podobne są do najdawniejszych rzeźb greckich. Według zdania uczonych, owe liczne posągi muszą być po prostu wizerunkami z natury robionemi kapłanów i różnych czcicieli bóstwa, gdyż w czasach starożytnych było we zwyczaju składać hołd taki w świątyniach. Niektóre z tych postaci trzymają w ręku ofiary przeznaczone na ołtarz.

Daleko ciekawsze i ważniejsze było inne odkrycie konsula amerykańskiego, o którym warto obszerniej opowiedzieć. Starożytne miasto Curium, założone przez Greków z Argolidy, zajmowało skalistą, wyżynę na południowym brzegu wyspy

Ccałe płaskowzgórze pokryte było od wieków odłamkami rzeźb i ozdób architektonicznych, potłuczonymi dachówkami i skorupami glinianych naczyń. Na jednym z takich pagórków widać było na wpół zapadłe w ziemię granitowe słupy. Chcąc ich rozmiary wymierzyć, pan di Cesnola kazał je wyjąć całkowicie i spostrzegł u ich podstawy płyty z mozaiki.

Ciekawość go zdjęła zajrzeć, co mogło się znajdować pod tą podłogą, a uderzając o nią nogą, usłyszał głuchy odgłos, zdradzający przestwór próżny. Kazał zaraz kopać w tém miejscu i na kilka metrów głębokości ukazało się wąziutkie przejście wykute w skale, zasypane w znacznej części ziemią i odłamkami kamieni. Po uprzątnięciu tych rumowisk, ujrano wschodki, a w głębi niewielkie drzewiczki, kamienną płytą zamknięte. Wyjęto je natychmiast i ujrano małą izdebkę, wykutą także całkowicie w skale i zapełnioną prawie do samego sufitu mialkim pyłem, który w ciągu wieków przesiewał się przez szczeliny gładów.

Tu dopiero rozpoczął się prawdziwy połów kosztowności, złota i klejnotów, a było tam tego pełno, zupełnie jak w zaczarowanych podziemiach Aladyna. Za pierwszą izbą ukazały się trzy dalsze, wszystkie tak samo zasypane. Gdy pierwszą z nich uprzątnięto z góry do połowy, pan di Cesnola zapuścił kij drewniany w miękki, pozostały nasyp i natrafił na przedmiot twardy. Wydobył go natychmiast, był to naramiennik złoty. Za każdym zapuszczeniem kija znajdowały się inne, niemniej kosztowne klejnoty. Uprzątnięcie czterech izb trwało przeszło miesiąc, nagromadzone w nich skarby przeszły wszelkie oczekiwania. Kryjówka ta była zapewne skarbcem świątyni; w którym przez długie lata składano dary ofiarne, łupy wojenne, lub przechowywano bogactwa obywateli, udających się na wojnę albo w podróż daleką.

Trudno pojąć, przez jaki szczególny zbieg okoliczności wszystko to pozostało tam nienaruszone aż do dni naszych i tak dalece zapomniane, że mogłoby leżeć spokojnie aż do skończenia świata, gdyby nie traf szczęśliwy a raczej przeczcucie tego dowcipnego poszukiwacza. Kosztowności ułożone były w izbach w pewnym porządku; w pierwszej znajdowały się przeważnie złote ozdoby, naszyjniki i naramienniki, kolce, pierścienie i szpilki do włosów, drogie kamienie w tych dawnych czasach używane, agaty, onyksy, krwawniki. W drugiej izbie złożone były srebrne naczynia, na nieszczęście mocno uszkodzone, gdyż metal ten mniej trwały jest od złota; w trzeciej lampy i różne naczynia z brązu i alabastru, wyroby gliniane, w czwartej nakoniec pospolitsze narzędzia brązo-

we, a między niemi nieliczne okazy z miedzi i żelaza.

Był to skarb prawdziwy, skarb nieoszacowany, ale wartości jego istotnej nie stanowiła ilość kosztownych metali, tylko starożytność tych wszystkich wyrobów, nadająca im ważne historyczne znaczenie. Były tam klejnoty najrozmaitszego pochodzenia; wyroby egipskie z symbolicznymi znakami, assyryjskie i chaldejskie z klinowemi napisami, rżnięte agaty i krwawniki, niewątpliwie dzieło przemysłu fenickiego, oni bowiem najwcześniej posiadali sztukę ozdobnego wyrzynania na twardej kamieniach. W niektórych innych okazach rozpoznano cechy najdawniejszej sztuki greckiej.

Wszystkie te kosztowności, tak samo jak i pozostałe znalezione na gruzach miasta Golgos, przeniesione zostały do Nowego Yorku. Ciekawa jest także historia wywiezienia tego ogromnego ładunku szacownych przedmiotów, niezbyt prawnie zagarniętych na ziemi tureckiej, gdyż wyspa Cypr, dziś należąca do Anglii, była jeszcze wtenczas pod panowaniem tureckiem. Rząd sułtana niechętnie patrzył na roboty podziemne, dokonywane na wyspie, a wywożenie wykopalisk surowo było wzbronione. Anglicy nieraz swoje zdobycze poprostu wykradać musieli. Ale jakże tu wykraść nieopstrzeżenie trzysta kilkadziesiąt ciężkich pak, zalegających obszerne składy konsulatu amerykańskiego? Pan di Cesnola, nie tracąc fantazyi, kazał paki przenosić na łodzie, gdy wtém nadszedł z Konstantynopola groźny telegram, zabraniający stanowczo wypuszczenia z portu ładunków konsula amerykańskiego. Co tu robić? niepodobna było wypowiadać wojny Turcyi, tém bardziej, że nie było wojska pod ręką i biedny nasz konsul był w rozpacz, gdy wtém wszedł do pokoju jeden z zaufanych jego domowników, Grek, chytry i przebiegły jak lis, a widząc kłopot swojego pana, odezwał się w te słowa:

— Ekscelency, wszak w telegramie urzędowym powiedziano wyraźnie, że konsulowi amerykańskiemu nie wolno nic z portu wywozić?

— Wiem o tém dobrze, po cóż mi tę smutną wiadomość powtarzasz?

— Ekscelency — mówił dalej Grek ze słodziutką miną — wszak tam nie powiedziano w telegramie, że konsul rosyjski nie ma prawa nic z portu wywozić?

Pan di Cesnola uderzył się dłonią po czole, zrozumiał od razu wybieg chytrego Greka. Konsul rosyjski znudzony się na wyspie, wyjechał był na czas nieograniczony, a obowiązki jego pełnił tymczasowo konsul amerykański; podobne zastępstwa dozwolone są w takich mało znaczących miejscach

wościach. W tej chwili zatem pan di Cesnola miał prawo wystąpić jako urzędnik cesarza Aleksandra II-go i osłonić ukochane swoje paki sztandarem państwa rosyjskiego. Świetny pomysł udał się doskonale; nim przesłano zapytanie do Konstantynopola, nim nadeszła odpowiedź, cały ładunek był już na statku amerykańskim i wypłynął na pełne morze.

Takim to dziwnym zbiegiem okoliczności najbogatsze zabytki Fenicyan, najdawniejszych żeglarzy, wydobyte z pod ziemi po tylu wiekach, dostały się w ręce nowożytnych żeglarzy, Amerykanów i odplynęły za morze.

WIOSNA.

Rzednieją chmury,
Tuman ponury
Spadł z gór.
Ożywiające,
Wiosenne słońce
Lśni z chmur.

* * *

Ku ziemi sennój
Zwraca promienny
Swoj wzrok.
Płosząc, jak mary,
Chłód, mgłę i szary
Dnia mrok.

* * *

Ziemia w spowiciu
Drgnęła ku życiu,
I już
Puchy posłania
Przez sen odsłania
Z swych wzgórz.

* * *

Toń wody wzdęta
Rwie lodu pęta,
I w dal,
Srebrnemi kęgi,
Roztacza wstęgi
Swych fal.

* * *

I oto nowa
Świata królowa,
Duch stróż!
Spływa z przestrzeni
Na tron z zieleni
I z róż.

Dyadem tęczy
Skronie jej wieńczy,
A kwiat,
W sto barw pospołu,
Dzierzga od dołu
Kraj szat.

* * *

A gdzie potoczy
Jasnemi oczy,
Tam kraj,
W blaskach się mieni
Barw i promieni,
Jak raj.

* * *

I chóry ptaków,
Z powietrznych szlaków,
I z drzew,
W jeden hymn wiosny
Łączą radosny
Swoj śpiew.

* * *

A w każdym śpiewie,
Jak woń w powiewie,
Tchnie, brzmi,
Panu stworzenia,
Hołd dziękczynienia
I czci.

* * *

O! czyż i ludzi
Wzór ten nie wzbudzi,
By wznieść,
Ku Tobie, Panie!
Myśl i błaganie,
I cześć?

Grzech ich, jak zima,
W pęta swe ima,
Lecz Ty,
Wiesz jak je skruszyć,
Wiesz czém osuszyć
Ich lzy.

Daj tylko, Panie!
Serca kajanie,
A Sam,
Jak wiosny blaski,
Światło Twój łaski
Wróć nam!

Bronisława.

TAJEMNICA RODU.

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW,

IV.

W pół roku później, o samym słońca wschodzie, cudownym wszędzie, ale trzykroć cudowniejszym pod włoskiem niebem, niż w innych krajach, dwaj młodzieńcy skromnie w suknie francuzkie przybrani, stali na skale dość wysoko wzniesionej ponad błękitne fale Adryatyku. Patrzyli z zachwytem w milczeniu uroczystem na powstającą niby z głębiny błękitnego morza, ogromną, złocistą, o purpurowych odblaskach tarczę słoneczną, źródło ziemskiego życia i światła. Powyżej, po za dwoma patrzącymi, na innej skale wznosił się stary włoski, średniowiecznych jeszcze pozorów zamek obronny, wyglądający trochę na odrapane rozbójnicze gniazdo, z brudną włoską mieścina u stóp mu leżącą. Gdyby nie bluszcze i powoje kwieciste, pnące się po tych murach i śmieciach, i lepiankach, i skałach, gdyby nie smutne, ale ku niebu wybiegające cyprysy i kwieciste mirty, białym kwieciem nakrywające nędze ludzkie, gdyby nie morze o tęczowych odblaskach, zakątek ten byłbyby bardzo nędznym zakątkiem włoskiej krainy. Po długiej chwili uroczystej ciszy, w czasie której nawet wiatr nadmorski ucichł, jakby modlitwę poranną odmawiał, słońce wspaniałe wynurzyło się całkowicie z błękitnego morskiego łoża, a w oddali oświetconej teraz i jakby zalanej złotem, ukazał się, niby olbrzymie widziadło, okręt w żagle białe odziany:

— Jest! oto jest! płynie po nas! — zawołał jeden z dwóch na skale stojących młodzieńców, końcem szpady wskazując okręt. Drugi młodzian poniżej trochę na skale stojący, jakby z niej schodził ku morzu, odpowiedział tylko poważnym głowy skinieniem w milczeniu, tak, że możnaby sądzić, iż kończył jeszcze w duchu poranną wraz ze świtem odmawianą modlitwę. Tak jak stali teraz oświetleni jasnemi słońca promieniami, jeden ku morzu i ziemi patrzący, drugi ku niebu zwracający oczy, obydwaj piękni, młodzi i dzielni, na wysokości samotnej skale, wyglądali, jeden, jakby się na

zdobycie ziemskiej jakiej a drugi niebiańskiej korony wybierał. Ziemski zdobywca, ów powyżej stojący, był wzrostu wysokiego, wspaniałej bardzo postaci i rozrosłej, mimo wczesnej jeszcze młodości, co nawet zdawało się na przyszłość skłonność do otyłości zapowiadać; oczy miał czarne wielkie i bystre, i po świetle niemi z góry, jak po swęj własności przerzucał; twarz zawsze świeża i pełna, jak wówczas, gdy go zwano puciołowatym Janem, była otwarta, poważna i miła. Drugi młodzieniec, poniżej stojący i w niebo teraz wpatrzony, był równie wysoki, lecz szczuplejszy, co nawet młodszym go na pozór czyniło od brata; zdawał się równie świeżym i dzielnym tchnąć siłą, a jednak w pięknej, lecz nad wiek poważnej jego twarzy i w szafirowych, ku niebu jakby bezwiednie zwracających się oczach, uderzał wyraz tęsknoty jakiejś, tej może, o której przesąd powiada, że nią naznacza niebo ulubieńców swoich, których ma przedwcześnie ziemi pozazdrościć i z niej odwołać.

Gdyby ci dwaj młodzieńcy mniej byli zajęci w tej chwili, jeden niebem, drugi ziemią, i gdyby skrycie i nieznacznie w tył poza siebie spojrzeli, ujrzeliby już oddawna, kryjących się w załomach skał dwóch ludzi, starca i młodszego drugiego Włocha. Dziurawe i brudne łachmany tych ludzi, udrapowane jednak malowniczo, twarz brudna i ogorzala, i długie czarne włosy, wszystko, aż do owych wygodnych a lekkich płaszczy, niby obrachowanych na zamaskowanie w potrzebie i twarzy i broni gęsto świecącej wśród łachmanów, wszystko znamionowało tych ludzi, jako pospolitych włoskich bandytów. Nie jakichś tam książkowych przecież, w których to czasem można choć odwagę, jako przymiot dodatni, zmniejszający odrazę, dopatrzeć, lecz tych najnikczemniejszych, których próżniactwo i nędza moralna w łonie społeczeństw wyrabia, a bogatsza klasa za narzędzia do celów swych za nędzny grosz używa. Dwaj ci Włosi śpiesznie a skrycie, a więc zdaleka, dążyli tu o brzasku za dwoma braćmi Sobieskimi, kryjąc się w załomy skał, aby przez nich spostrzeżonymi nie być. Ta ostróżność utrudzała im śledzenie, tak, że dopełzłszy blisko szczytu nadmorskiej skały, ujrzeni już tylko Jana, stojącego samotnie na jej szczycie, bo inna skała kryła przed ich oczyma niżej stojącego Marka.

— Szczęście ci sprzyja, Goda! tamten niepotrzebny, poszedł gdzieś dalej, uderzaj pierwszy, kiedy to ty dostałeś tę robotę, ja poprawię jeżeli będzie trzeba—te słowa szepnąwszy młodszemu bandycie, starszy usiadł wygodnie za skałą, patrząc przez szczelinę na Jana, a długi ostry nóż trzymając w dłoni na pogotowiu. Młodszy rozbójnik, nazwany Goda, wyjął długi, cienki, błyszczący sztylet

z za pasa i spróbował go machinalnie w palcach, a oka nie spuszczać z Jana, podsunął się bliżej ku niemu pomiędzy załomami skał, błyszczącym spowitemi; z wyciągniętą naprzód szyją, z dziko błyszczącymi oczyma, rozwartymi ustami a zaciśniętymi zębami, czołgał się rozbójnik cichy i giętki, jak gadzina ku Janowi, śledząc bacznie każdy ruch ofiary, a w dłoni ściskając sztylet, by w upatrzonyj chwili pchnąć go w tej ofiary serce.

Przypatrzwszy się, chyżo płynącemu po szafirowych falach okrętowi, Jan Sobieski odwrócił się z wolna, i wyciągając ramiona ku włoskiej ziemi, na której stał dotąd, zawołał dźwięcznym i wrzuszonym głosem:

— Zegnajże mi o terra di Bari! ty nędzny nikczemny zastawie lichwiarski za stopy łez-perł i zdroje krwi i potu w postaci złota wywiezione tu z mojej świętej ziemi! O Bono! o królowo niegodna królestwa, na które Bóg cię powołał, niepróżno ty tutaj dążyłaś do godniejszej ciebie ziemi wśród godniejszych przyjaciół. A ci przyjaciele, którzy ci podobno wraz z życiem resztę uwiezionych z polskiej ziemi skarbów wydarli... gdzież oni są?... wszak czasy niedawne, a skarby wielkie były; radbym też wiedział jak pożytkują przyjaciele Bony z dziedzictwa Jagiellonek i skarbów polskiej ziemi wydartych?

Krzyk rozpaczliwy rozległ się na skałach w chwili, gdy ostatnie z tych słów rozbrzmiewały na falach włoskich wietrzyków, i Jan, spojrzawszy w stronę, z której ten krzyk pochodził, ujrzał już blisko swęj piersi sztylet rozbójnika rzucającego się w tej chwili ku niemu, gdy Marek z krzykiem i nastawioną do pchnięcia szpada rzucał się ze swęj strony ku rozbójnikowi, spostrzegłszy go także w stanowczej chwili dopięro. I kto wie, czy mimo całej Marka zręczności, szpada braterska nie przybyłaby za późno, gdyby okrzyk nie zdołał jęj uprzeczyć. Jan nie próżno wedle instrukcyi ojcowskiej uczył się szermowania we Włoszech; na okrzyk braterski szybko jak myśl nastawiona jego własna szpada uprzeczyła, jakkolwiek zaledwo że uprzeczyła, cios morderczy, dosięgając jego własnej piersi wprzód, jako dłuższa, niż krótszy sztylet uderzyć mógł w serce Jana.

— Cospetto! addio Goda! addio Papa-goda!—krzyczał ze śmiechem nikczemny wspólnik rozbójniczy, uciekając z całych sił, ujrawszy kolegę powalonego pod zręcznym pchnięciem Jana, i widząc Marka wybiegającego z za skały. — Cospetto! pocóż książkę umowę robił z niezdarą?

— Książkę? co on mówi? Jaki książkę nasadził cię na mojego brata? — zapytał Marek przykląklszy i usiłując zatamować krew z piersi rozbójnika płynącą.

— Lucioli... — odpowiedział obojętnie umierający złoczyńca.

— Niechaj mi Bóg przebaczy to mimowolne we własnej obronie zabójstwo! — rzekł Jan wzruszony, ocierając szpadę garścią zerwanych liści laurowych, a potem przyklękając obok Marka u boku umierającego rozbójnika, zapytał:

— Bracie, czy ty słyszałeś, jak tamten uciekający nazwał tego umierającego?...

— Słyszałem, nazwał go Papagoda... — szepnął Marek.

— Per Baccho! cóż w tym dziwnego? — mruknął umierający — Papagoda, tak nazywał się papa mój, Papa-Goda, i papa mego papy wielki pan, większy sto razy, niż ten skąpiec Lucioli i niż wy, moi chłopcy... wielki pan, który tu w tym zamku... królowa... wielki pan... — I coraz niewyraźniej mrużąc, wyzionął ducha rozbójnik...

— Requiescat... — zaczął Marek pobożnie, a za nim Jan powtarzał słowa modlitwy. Ukończywszy modły, powstali z kolan dwaj bracia, a Marek, wskazując końcem szpady na stygnące zwłoki obszarpanego i brudnego rozbójnika, rzekł z uroczystym w głosie wzruszeniem:

— A oto i masz podobno bracie odpowiedź na pytanie swe przed chwilą niebu uczynione: jak przyjaciele królowej Bony pożytkują ze skarbów polskiej ziemi wydartych? boć jeśli się nie mylę wnuk ten jest owego Papagody, który wedle wieści królową tę otruł tu w tym zamku, podrzuciwszy fałszywy testament, którym ona księstwo to Bari królowi hiszpańskiemu, a skarby polskie temuż Papagodzie zapisywała...

Długą chwilę stali dwaj bracia w głębokim milczeniu nad zwłokami zbrojcy... aż Jan poszepnął cicho, jakby do własnej mówiąc myśli:

— A więc jest, jest sprawiedliwość...

— A więc można jej zadość uczynić, można zakłócić nieszczęście... — ciszej jeszcze szepnął Marek: obydwaj myśleli o tajemnicy rodu swego nieszczęsnego. Nagle, Marek podniósł głowę, jakby z głębokiej zadumy zbudzony i żywo powiedział do Jana:

— Panie bracie! czy masz w pamięci list pani kasztelanowej, który odebraliśmy, ostatnio?

— Ten, w którym takie ostre były do mnie wyrazy?... to się wie, że mam... nie prędko tego zapomnę! — odrzekł Jan, marszcząc się, przyczem twarz jego, pocziwa i uśmiechnięta zazwyczaj, stała się wielce podobną do twarzy nadąsanego dzieciaka.

— To powtórz że bracie te ostre wyrazy, proszę!... — powiedział Marek. Jan spojrział na swego starszego, nierozumiejąc zupełnie żądania, ale mimo to, wdrożony do posłuszeństwa tak, że ono

względem tego swego starszego stało mu się drugą naturą, powtórzył na pamięć żądane listu wyrazy: „I to jeno przykra, że twardem staje się matczyne serce dla nieposłusznego dziecka, synu mój Janie! po wieleż to już razy upominałam cię, byś krew w sobie pradziadów twoich szanował, a na obronę ojczyzny zachowywał ją... i oto powiadam tobie raz jeszcze, że jeśli onych burd a pojedynków nie zaprzestaniesz, to prawdę kiedyś rzeknie kto powie, iżem ja mniej serca dla młodszego syna mego miała“ — domawiając te „ostre“ wyrazy, Jan spojrział nagle na brata, jakby pojąwszy raptownie myśl jego. Marek skinął głową poważnie w odpowiedzi na to spojrzenie, i rzekł:

— Tak, macierzyńskie serce jasno widzi, nieszczęsne przyzwyczajenie do chwytania za szpadę o lada co, daleko prowadzi. Odkąd w szermowaniu do mistrzostwa doszedłeś, czynisz sobie waszmość igraszkę z wyzywania na szpadę, a oto skutki tego: w pojedynku o nic, zraniłeś ciężko jedynego syna starego Lucioli i oto już po drugi raz mściwa skrytobójcza ręka wymierza sztylet morderczy na cię, z rozkazu tegoż Lucioli. Bracie! tu przy tym stygnącym ciele złoczyńcy, na którym tak jawnie widzisz palec Boski, przyrzecz mi, że zapanujesz nad tą krewkością nieszczęsną, ty, potomek nieszczęsnego rodu, który za krewkość pono właśnie pokutuje!

— Przyrzekam! — rzekł z cicha i ze spuszczoną głową Jan Sobieski; przyklął i jeszcze cicho jakieś słowa modlitewne wymawiał, gdy plusk wioseł i wesoły przeciągły okrzyk żeglarski rozległy się u skał podnóża. Okręt widziany niedawno z daleka, płynął teraz w pobliżu, a łódka z niego po Sobieskich wysłana przybiła właśnie do brzegu. Dwaj bracia zeszli po skałach ku morzu, i niezadługo wsparci o balustradę, stojąc już na pokładzie okrętu, żegnali wejrzeniem włoską krainę, piękną i wesołą... jak każda gdy w sercu zamieszkuje ją człowieka jest piękno i wesele.

Całą też prawie tę morską podróż przepełnili dwaj bracia tak siedząc lub stojąc wsparci na pokładzie okrętu, ujmując sobie jak najwięcej snu i spoczynku, byle tylko pięknych widoków grodów i wysp, i wybrzeży historycznie i mitologicznie znanych i wslawionych nie tracić. Bo skutkiem owego od dzieciennych lat zalecanego im czytania poważnych i zajmujących dla rozumnego umysłu dzieł historycznych, jakich pełna szafa stała w sypialni Żółkiewskich, wnukowie ich byli tak obeznani z przeszłością, a nawet i z miejscowością tej części mórz i wybrzeży, wśród których teraz płynęli, że nieświadomy ktoś, gdyby ich rozmów prowadzonych na pokładzie okrętu podsłuchał, mógłby sądzić, że ci dwaj młodzi podróżni

byli co najmniej jakimi uczonymi Grekami, zrodzonymi kędyś w okolicy tamtejszej i każdy jęj ką i dzieje jego znajęcymi.

Tak przesuwały się zwolna przed oczyma podróżnych przesławne brzegi Grecyi, i zaraz powstały przed oczyma ich duszy i ożyły w pełnej uwielbienia rozmowie duchy bohaterów i mędrców, którzy jak wślawili tę kraję, tak po wiek wieków unoszą się i unosić będą ponad nią, dla dusz umięających wielkość ich uczuć: duchy Solonów, Likurgów, Homerów, Kodrusów, Milcyadesów, Leonidasów... i któżby tam zliczył i spisał wszystkie porównania do własnego kraju, które przemknęły się wtedy w braterskich tych gawędkach.

— Bohaterzy byli nad bohaterami — mówił Jan z zapalem — wielcy i najwięksi w nieszczęściach właśnie: zwycięstwo Maratońskie, przesmyk Termopylski, to wieczne prawo Greków do uwielbienia! a przecież nabyli je właśnie pod naciskiem całej ogromnej perskiej potęgi, z którą zmierzyć się mogli i zmierzili potęgą ducha jedynie! Nawet w najcięższym razie, nawet w odwrocie Dziesięciu Tysięcy z Ksenofonem, wielkość ducha pozostaje wielkością, prawdziwa wielkość w duchu jest i w ofierze!

— W duchu, i w obowiązku, bracie! — surowo poprawił Marek; a Jan pomyślał, z uwielbieniem spoglądając na brata, rzekł:

— Prawda, bracie! obowiązek, to jest rzecz tak wielka, że choćbyśmy najwięcej czynili, jeszcze nie wypełnimy go całkowicie: obowiązek niema granic?...

— Tak! i tak pojmowali go Grecy! — powiedział Marek — a przecież ciż sami Grecy, tak wielcy w najcięższych próbach, upadli bezsilni, bezduszni następnie w położeniu nieskończenie lepszym... Dla czego Grecy upadli, Janie?

— Widzę, do czego prowadzisz mię waszmość bracie słowy twemi — rzekł Jan z poważnym uśmiejchem — Grecy zmaleli na duchu i upadli, gdy Filip Macedoński potrafił wzniecić niezgodę między nimi.

— Upadli na duchu i nieostali się, gdy dom ich rozdzielił się przeciw sobie... — zamyślony Marek powtórzył półgłosem. Tymczasem cień Kandy starożytniej przesunął się w oddali. Archipelag, Paros, Chios, wspomnienia Troi bohaterskiej, mądrość Ateńska, wielkie słowo Sokratesowe: wiem, że nic nie wiem, stały się z kolei przedmiotem uwagi i rozmowy dwóch podróżnych, gdy milcząc od chwili Jan, zapytał:

— Ale jak to ten Filip potrafił w to, żeby Greków w wiecznych poróżnieniach utrzymać i różnić ich zwyciężyć?...

— *Divide et impera*, stara maksyma — z uśmiej-

chem odpowiedział Marek — a jak ją zastosować do swoich spraw z Grekami Filip się nauczył? to to ci powiem, bracie, że nauczył się tak, jak i my powinniśmy się nauczyć tego odnośnie do naszych spraw z Turkami, i nauczymy się, jeżeli będziemy umieli korzystać należycie z pobytu tam, kędy płyniemy.

— A prawda! że to się Filip umyślnie między Grekami chował, aby dobrze słabe strony ich poznać, i że my w tymże celu płyniemy, a jam tego podobieństwa nie spostrzegł! — śmiejąc się Jan przyświadczył.

— Niema się czego śmiać — poważnie rzekł Marek — prawnuk Stanisława Żółkiewskiego nie może narzekać, by we krwi nie miał prawa do mierzenia się, choćby i z synem Filipa owego! jeno trzeba się szanować i krew tę, jak pisze pani kasztelanowa matka.

Ukazał się Hellespont ze swemi zamkami, minęli Gallipoli, cienie miast i wspomnień historycznych powstały tłumnie na zbliżonych ku sobie Azyi i Europy wybrzeżach, morze Marmora i cudny Bosforu widok objawił się nareszcie oczom podróżnych, ale dwaj Sobiescy zamilkli i ciężka chmura smutku przysłoniła młode ich czoła, ołowiem padła na serca. Nie mówili do siebie, bo czuli za wiele, zbliżając się do serca potwora, który tyle krwi rozlał w ich rodzie i narodzie. Po chwili przybili do brzegu u stóp Carogrodu przesławego. Wysiadając na brzeg, w chwili gdy stąpić miał na stambulską ziemię, Marek ukląkł nieznacznie, by uwagi pogaństwa nie zwracać na siebie, i oczy do nieba podnosząc rzekł:

— Ślubuję nie skosztować jadła ani napoju, póki nie klęknę przed ową bramą w Seraju, kędy głowa pradziada naszego przez trzy lata kołysaną była na wietrze...

V.

O przesłicznym dniu, który nad Bosforem ma szczególniejsze właściwości swoje, za mało dotąd opisywane, gdy słońce, zdając się w dziwny sposób rozpuszczać niejako w przejrzystej atmosferze, wstępowało dopiero w górę po szczytach cyprysów i jaworów na swój tron błękitno-złocisty, zwawy ale zwyczajny tam ruch panował na *Atmeydanie* bo Turcy ujeżdżali swe konie, jak zawsze, odkąd *Atmeydan* posiadli. Plac ten, jeden z wielu i największych, jakie w wielkiej ilości zdobią Stambuł, zwany był za cesarzy greckich *Hippodromem* i służył do wyścigów. Turcy obrócili go na ujeżdżalnię i po swojemu nazwali *Atmeydan*. Place stambulskie, ważne z wielu względów w mieście o ulicach bardzo wązkich, stanowią niby dziedzińce meczetów i ten, o którym mówimy znajduje się

przed meczetem *Sultana Achmeta*. Meczet ten zwie się właściwie *Alty Mineraly* a zbudowany jest przez sułtana Achmeta; rozłożyste ogromne jawory, gęsto ocieniają świątynię, zwyczajem u Turków zachowywanym, tak, że kopyły, i wysmukłe wieżyczki i wieże, zaledwo z trudem zdają się przebijać przez ciemną zieleń ku niebu. Naprzeciw tego meczetu, skrytego w zieleni, po drugiej stronie placu, stał wielki i ozdobny gmach zwan *Starym Serajem*. Gmach ten runął w gruzy wśród pożaru w lat około sto później; w ogóle Stambuł przedstawia się w powieści takim mniej więcej, jakim był w XVII-m wieku, gdy w nim gościli Sobiescy.

Z jednego z okien tego pałacu, o przesłicznym poranku wspomnianym, wychylał się zawsze świeży i okrągły i uśmiechnięty wesoło starosta jaworowski, Jan Sobieski, przyglądając się z niezmiernym zajęciem tureckim sposobom ujeżdżania koni. Tureccy rycerze rozpuszczali przepyszne bieguny i w największym stopniu rozpędu dokonywali najrozmaitszych sztucznych zwrotów i obrotów, lub stawali nagle, jak wrósłszy w ziemię. Była ich spora liczba, i ćwiczyli się tak co rano, ani domyślając się, że ktoś z dobrze znanego u nich pogromczego rodu podpatruje rycerskie ich tajemnice. Dopiero z chwilą wyznaczoną na dopełnianie religijnej ablucyi, opustoszał Atmeydan, i wtedy też dopiero odstał od okna Jan Sobieski popatrzwszy jeszcze chwilę w zadumie na opustoszony teraz Atmeydan, na środku którego stał słup spiżowy, pięć łokci wysoki, w kształcie szruby zrobiony, z którego wierzchołka dwie głowy węzowe wznosiły się groźnie, sycząc jakoby... po obu stronach tego słupa stały dwa bardzo wysokie obeliski, z których jeden, mimo ogromu, wykuty był z jednolitej sztuki granitowej, i jeszcze widocznie ukruszony u szczytu.

Salon, ku któremu okrócił się teraz starosta jaworowski, był to tak zwany *Selamlık*, to jest sala do przyjmowania gości. Jakkolwiek pałac cały był murowany, wyjątkowo w Stambule, zabudowanym drewnianymi domami, przecież salon ów cały był wybity gładkimi deskami i świecącymi farbami olejnymi wymalowany, ściany na biało-błyszcząco, sufit w kratkę różnobarwną. Dookoła wszystkich ścian biegła szeroka sofa, jedwabną materją z frendlami obita, a na niej ułożono bogate wezglowia aż w trzy rzędy, do wygodnego oparcia głowy, ramion i łokci tych, którzy spoczywają na takiej sofie. W kącie na sofie tej siedział tureckim sposobem, to jest z nogami podwiniętymi, Marek, starosta krasnystawski i pisał w księdze owę wielkię, w cielecą skórę oprawnę, którą pan kasztelan dał niegdyś synom na notaty. Nie było zresztą w salonie tym nikogo więcej, ani też sprzętu

żadnego, bo Turcy nie używają żadnych, ani nawet stołów, i dla tego też kasztelan Marek, stosując się do okoliczności, po turecku siedział, aby po turecku także na kolanie pisać, nie mogąc inaczej.

(D. c. n.).

P A N D A.

Osobliwsze to zwierzątko w klasyfikacyi naukowej zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy niedźwiedziem i kotem. Do niedźwiedzia podobne jest stąd, że staje całą stopą i wspina się często na tylne łapy, kota zaś przypomina ostremi, na wpół wysuwalnemi pazurami. Panda przebywa w górach Himalaya, w okolicach rzek i strumieni, najczęściej skacze po drzewach, chwytając ptaszki i owady ze zręcznością kota. Zwierzątko to mało co większe jest od zwyczajnego domowego kota, wydaje się jednak daleko okazalsze, gdyż ma włos bardzo długi i puszysty.

Postaci Pandy opisywać wam szczegółowo nie będziemy, gdyż załączony rysunek najlepsze o tém daje wyobrażenie. Barwa jęj brunatna ma złocisty odcień na karku i czarny na brzuchu. Przy uszach zwieszają się kosmyki białawe, długi ogon rudy, w ciemniejsze pierścienie, służy zwierzęciu do czepiania się na drzewach.

Ze wspomnień mojej młodości.

Po ukończeniu pierwszego roku szkolnego, przyjechałem na wakacje do domu, na wieś. Któż nie pamięta pierwszych wakacyi? Młodzi czytelnicy, którzy już lat kilka za domem spędzili, pewnie mi słusność przyznają. Miło jest zawsze po pracy rzucić bruk miejski i odetchnąć świeżem powietrzem, ale pierwszy powrót w progi rodzinne po dłuższej niebytności ma urok niewypowiedziany.

Przybywszy tedy na wakacje, zacząłem jak najspieszniej używać wszelkich przyjemności wiejskich, jeździłem konno, oglądałem pola i lasy, przypatrywałem się pracom gospodarskim, wszędzie mnie było pełno, w stodołach, w gumnach, w ogrodzie. Nazajutrz raniutko poszedłem do owczarni, zkąd właśnie trzoda owieczek miała za chwilę wyruszyć na pastwisko.

Owczarz otworzył wrota, ale nie zdążył odsunąć kraty zagrządzającęj wejście od środka, a owce, którym widać bardzo było śpieszno na paszę, zaczęły się tłoczyć, nie czekając i beczwały przytęm

przeraźliwie, a taki ztąd powstał hałas i zamęt, że cofnąłem się ostrożnie o parę kroków w tył i miałem ochotę zrejterować jeszcze dalej, gdy spostrzegłem szyderski uśmiech na ustach starego Jakóba, owczarza. Przyznacie, że niemilo jest uchodzić za dzieciaka i tchórza, kiedy się przeszło z odznaczeniem pierwszą klasę gimnazjalną, to też przysunąłem się śpiesznie do wrót i stanąłem tuż obok Jakóba, który potrząsał kratą, ale nie wiem dla czego, nie mógł jej otworzyć.

— A to kłopot prawdziwy z temi bydletami—mówił staruszek — zawsze to jednakowe, wedle przysłowia: głupi, jak owca.

to się zaczęło, nie przy mnie się skończy; czy zawsze tak było, a któż to może wiedzieć? Ale ja sam czterdzieści lat na to patrzę.

— Już to co prawda, to prawda, że owce strasznie są niemądre—odezwałem się poważnie.

— Może tak, a może i nie — rzekł Jakób, z jakąś miną żartobliwą, która mi się nie bardzo podobała — bo to widzi panicz, ich przecież nie posyłają do szkoły, to zkad mają rozumu nabrać? Ale tyle, co im potrzeba, to umieją.

Krata jeszcze się nie odemknęła, a owce dokażywały, jak szalone, zdawało się, że postanowiły podusić się u wejścia, byle na swoim postawić.



P A N D A.

A owce tymczasem, jakby dla sprawdzenia przysłowia, coraz gwałtowniejszy szturm przypuszczały do kraty, wspinały się na nią przednimi nogami, inne znów włożyły na grzbiety pierwszych, jagnięta, ściśnięte w tłoku, becząły żałośnie, ale zamiast się cofnąć cisnęły się także naprzód, powiększając jeszcze zamieszanie.

— Czy to zawsze taka historia z nimi? — pytałem.

— Czy zawsze? — odrzekł owczarz, wzruszając ramionami — albo ja wiem. Nie przy mnie

— No, no, zaraz, już w tej chwili odmykam—mówił Jakób, a zwracając się do mnie, dodał: — A panicz może odejdzie, bo jak się to wszystko tu zwali...

Ale wartoż było popisywać się z odwagą, żeby teraz uchodzić z placu w chwili niebezpieczeństwa? Odpowiedziałem więc stanowczo, że nie myślę się ruszać z miejsca, a owiec wcale się nie boję.

— No, jak panicz uważa, ja tam nie wiem — rzekł owczarz spokojnie i otworzył nagle kratę.

Niestety! w jednej chwili byłem sromotnie po-

walony na ziemię, zdeptyany kopytami, ogłuszony i nie zdając już sobie sprawy z położenia, rzuciłem pychę z serca i wołałem w niebogłosy ratunku. Owczarz mnie podniósł, postawił na nogi, otrzepał z kurzu i odprowadził na bok, podczas gdy owce dalej wybiegały tłumnie z owczarni, cisnąc się, przeskakując jedne przez drugie i becząc, jak gdyby je kto gonił i naglił do pośpiechu.

Nie wiele myśląc, wziąłem nogi za pas i prawie z takim samym pośpiechem pobiegłem do domu. Matka, której opowiedziałem swoją przygodę, bo wiedziałem, że śmiać się ze mnie nie będzie, kazała mi dać wody do umycia i łagodnie mi tłumaczyć zaczęła, na czém polega prawdziwa odwaga i czém się różni od nieroztropności.

W parę godzin później siedziałem z rodzicami przy śniadaniu, a zajadając kotlet barani, rzekłem dobitnie:

— Niéma na świecie niemądrejszego stworzenia, jak owca.

— Rozumne nie są, to prawda — rzekł ojciec — a jednak, jakże często ludzie tak samo postępują, jak owce. Nie masz potrzeby spuszczać oczu, ja wcale o tobie nie myślałem, byłeś nieroztropny, ale spodziewam się, że nauka nie pójdzie w las i na drugi raz będziesz miał więcej sensu. Co innego chciałem powiedzieć: oto, niech tylko w miejscu publiczném, w teatrze, w kościele, gdzie dużo ludzi jest zgromadzonych, zawoła kto, że się pali, publiczność zaczyna się natychmiast tłoczyć, tak zupełnie, jak owce, chociaż wszyscy mieliby czas wyjść spokojnie i uniknąć niebezpieczeństwa. Tymczasem każdy traci głowę, chce koniecznie najpierwszy uciec i pędzi, jak szalony, przeciskając się przed innemi. Zawsze też z tego powodu powstaje straszliwy tłok w drzwiach i nikt wyjść nie może, tylko ludzie duszą jedni drugich, silniejszy nie ma żadnej litości nad słabszym, popycha kobiety, dzieci, byle sam jaknajśpieszniej się uratował, a to straszne samolubstwo zwykle do zguby go prowadzi wraz z niemi. A jednak, gdyby każdy sobie powiedział, że trzeba mieć trochę zastanowienia, troszkę zimnej krwi, wszyscyby na tém dobrze wyszli. Gdyby jeden człowiek rozsądny mógł w takiej chwili mieć władzę nad tłumem i siłę potrzebną do powstrzymania go w szale, uniknęliby ludzie nie jednej strasznej katastrofy. Czy zrozumiałeś moje dziecko?

— Rozumiem, ojcze — odpowiedziałem — widzę, że niesłusznie tak ogadałem biedne owieczki.

— Inaczéj się dzieje, gdy pożar wybuchnie na okręcie. Tam panuje surowa subordynacja, załoga cała spełnia ślepo rozkazy kapitana. Więc najpierw ratują kobiety i dzieci, starców, potem innych pasażerów, w największym porządku wsia-

dają wszystkich z kolei na łodzie, następnie wsia-
dają majtkowie, po nich oficerowie, a na samym końcu kapitan.

— Ach, ojcze, a jeżeli okręt się spali, nim przyjdzie kolej na kapitana?

— Kapitan ginie, spełniając powinność.

Uczułem lzy w oczach i w piersiach mi coś dziwnie wezbrało, odetchnąłem głęboko, Żał mi było kapitana, ale czułem dla niego wielkie uwielbienie i zdawało mi się w téj chwili, że chciałbym być na jego miejscu.

Ojciec spostrzegł to wzruszenie moje i musiał być z niego zadowolony, bo nie chciał myśli moich przerywać i milczał przez chwil kilka, potem odzwał się znowu:

— Człowiek rozsądny, nie tylko w takich nadzwyczajnych wypadkach, ale i w najdrobniejszych okolicznościach powinien umieć zachować krew zimną; nieraz tym sposobem unika śmieszności. Czy nie widziałeś, jak ludzie czasem spotkają się we drzwiach na progu, na wschodach lub na chodniku. Najczęściej się zdarza, że osoby te jednocześnie chcą sobie z drogi ustąpić i w tę samą stronę się rzucają, przeskakują znów w drugą, spotykają się, tracą głowę, toż samo powtarza się trzeci i czwarty raz, a przechodnie gapią się na to zabawne widowisko. Zapewne, że to jest drobnostka i nie wiele się na tém cierpi, ale trzeba się starać o zimną krew w takich drobnych okolicznościach, ażeby ją tém łatwiej utrzymać w ważniejszych. A co się tyczy owiec i twojej przygody...

— O, już ja nigdy drugi raz nie będę stał przy drzwiach owczarni, gdy owce mają wychodzić — rzekłem z żywością.

Ojciec się rozśmiał, a kładąc rękę na mojem ramieniu, rzekł:

— Widzisz, jaka jest różnica pomiędzy człowiekiem i owcą. Człowiek się kształci przez doświadczenie i nabiera rozumu, a owca nie. A tymczasem kotlety baranie są wyborne, nieprawdaż? Ja biorę drugi i tobie radzę powtórzyć.

Przygody Mysliwskie młodych osadników

W AFRYCE POŁUDNIOWEJ.

IV.

Na prawym brzegu rzeki Pomarańczowej.

Zaraz po przebyciu rzeki rozpoczęły się dla naszych podróżników różne ciekawe przygody, za-
sługujące na to, abyśmy je szczegółowo czytelnikom naszym opowiedzieli. Na pierwszy wypoczy-

nek po tój przeprawie zatrzymali się na brzegu małego jeziora, po środku rozległej równiny, mieli więc tam i wodę i paszę, dwie rzeczy niezbędne w podróży, chociaż woda stojąca w jeziorce była trochę mętna, a pasza niezbyt bujna na łące. Gdzieniedzie widać było gromadki krzaków i drzew niezbyt wyniosłych, a na miejscach odkrytych wznosiły się, naksztalt wałów obronnych, budowle termitów, czyli mrówek białych, dochodzące niekiedy kilku metrów wysokości.

Rozłożono obóz, wyprężone woły puszczono na paszę i zabierano się do rozpalenia ogniska, gdy ozwał się okrzyk Buzmana.

— Lwy! lwy!

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę, którą wskazywał Facetan i w rzeczy samej młodzi myśliwi spostrzegli ogromnego lwa o ciemnej grzywie, który zmierzał w tę stronę, gdzie się pasły woły. Zwierz, wysunawszy się z krzaków, przykucnął na ziemi wśród trawy i czatował się zdawał na biedne zwierzęta, tak zupełnie, jak kot czatuje na myszkę, lub pająk na muchę.

Zaledwie młodzieńcy objęli wzrokiem ten widok, który im powyższe porównanie nasunął, gdy ujrzeli drugiego lwa, wysuwającego się z gęstwiny i zbliżającego się drobnym kroczkiem do pierwszego. Była to lwica, łatwa do rozpoznania z odmiennych nieco kształtów, do tygrysa zbliżonych i braku grzywy. Co do wzrostu, nie ustępowała wcale towarzyszowi, nie mniej też była silna i drapieżna. Gdy przybyła do miejsca, gdzie siedział w trawie pierwszy lew, usadowiła się przy nim i oboje, z głowami zwróconymi do obozu myśliwych, spoglądali chciwym wzrokiem na pasącą się gromadkę wołów. Widzieli oni dobrze i ludzi, i konie, i psy, ale nie obchodziło ich to wcale, bo mieli smaczniejszy kąsek tuż przed sobą i czekali tylko dogodnej sposobności, aby go pochwycić. Widocznie postanowili sobie, że dostaną świeżą wołowinę na wieczkę, gardzili więc końskim mięsem.

Pierwszy to raz podczas tój wycieczki myśliwi nasi napotkali lwy. Nieraz już wprawdzie doszli na piasku śladów wspaniałego zwierza, słyszeli z daleka ryk jego przeciągły ale nie widzieli w żywe oczy króla zwierząt w całym jego majestacie, nie dziw więc, iż niespodziewane pojawienie się monarszej pary tak blisko, wywołało w całym obozie wielkie wrażenie, graniczące prawie z przestraszeniem.

W pierwszej chwili zadrżeli o własną skórę, nawet Facetan i dzielny Zulus nie zupełnie byli wolni od tój trwogi, wkrótce jednak się uspokoili, pocóżby lwy napadać ich miały, widząc przed sobą ponętniejszą zdobycz? W tój chwili czatowały na gromad-

kę wołów i nie było obawy, aby się na ludzi rzuciły, skoro mogły pożerać wypasione bydła. To też młodzi nasi myśliwi po chwili zastanowienia odzyskali zimną krew i wszelkiego strachu się pozbyli.

Nie szło jednak za tём, aby mieli obojętnie na łup wydawać pocziwe swoje zwierzęta; strata zaprzęgu lub wierzchowców byłaby bardzo dotkliwą dla nich. Należało więc jaknajspieszniej przedsięwziąć środki ostrożności i pobudować kraal *), gdzieby zwierzęta znalazły bezpieczne schronienie.

Lwy nie poruszały się z miejsca i nie przestawały czatować w groźnej postawie, widocznie jednak nie miały zamiaru rzucać się w tój chwili na woły, może ich odstraszało sąsiedztwo obozu. Nigdy jeszcze zapewne nie widziały wozów i nie miały ochoty zbliżać się do tych nieznanych przedmiotów, które mogły kryć w sobie jakiś podstęp. Czekwały więc cierpliwie, ażeby woły oddaliły się od wozów, które w nich pewne podejrzenie budziły, lub wyglądały ciemności, aby się przysunąć niepostrzeżenie do upatrzonj zdobyczy.

Przekonawszy się, że napad natychmiastowy im nie zagrażał, Henryk i William wsiedli na koń, zbliżyli się ostrożnie do pasących się wołów i odpezdili je na drugą stronę jeziora. Pozostawiono na straży przy trzodzie dwóch najmłodszych, Kłasa i Janka, reszta zaś wszyscy, nie wyłączając dwóch krajowców, uzbrojeni w siekiery i motyki, poszli do pobliskich zarośli kolczastych akacyj (acacia detinens) i nacięli ogromną ilość gałęzi, najeżonych ostrym cierniem. W pół godziny młodzi nasi przyjaciele urządzili sobie wyborny obóz, ogrodzony ciernistym wałem, w którym pomieścili wozy i bydło.

Teraz uspokoili się zupełnie, a dla większego jeszcze bezpieczeństwa rozpalili dwa ogniska po obu stronach obozu. Płomień nie zawsze wprawdzie odstrasza dzikie zwierzęta, zwykle jednak nie miłe na nich sprawia wrażenie. Na wszelki wypadek mieli broń w pogotowiu. O siebie nie lękali się wcale, mogli najspokojniej usnąć w głębi wysokich wozów, nigdy lew, nawet zgłodniały, nie odważyłby się wpaść do obozu ogrodzonego, a tём bardziej rzucić się na wóz. Nie było nawet o czём myśleć.

Ukończywszy te przygotowania, młodzi myśliwi zasiedli dokoła ogniska i zajęli się przyrządzeniem wieczery. Nie mieli innych zapasów żywności, oprócz wędzonego mięsa, ostatnią zwierzynę, zabił, po tamtj stronie rzeki, spożyli dnia po-

*) Tak nazywają na Przylądku każde ogrodzenie mieszczące w sobie chaty, lub obory dla bydła, wysokim płotem zabezpieczone od napadu drapieżnych zwierząt.

przedniego, pozostała im wprawdzie cała antylopa z gatunku zwanego pospolicie *riedbok*, co znaczy antylopa trzcinowa, a w języku naukowym *eleotragus arundinaceus*. Nazwa ta ztąd pochodzi, że zwierzę to przebywa najczęściej wśród zarośli trzcin i sitowia na wybrzeżach rzek. Antylopa ta jest niewielka, dochodzi zaledwo 80 centymetrów wysokości, sierść ma twardą jasno popielatą na karku, na grzbiecie i bokach, a białą na piersiach i brzuchu. Rogi jęj, proste do połowy swęj długości, wyżęj się wyginają i zakręcają naprzód. Mają około trzydziestu centymetrów długości, przy nasadzie są chropowate, po środku obrączkowate, na końcu gładkie. Jak już wspomnieliśmy, ten gatunek antylopy żyje przeważnie na bagnistych nizinach, na wybrzeżach rzek i karmi się ziołami, rosnąciami w tych wilgotnych miejscach. Z tęj przyczyny zapewne mięso jęj jest niesmaczne i dla tego to myśliwi nasi, woleli posilić się wędzonym mięsem, a pieczeń z antylopy oddali woźnicom.

Henryk i William byliby chętnie przed nocą zapolowali na jaką lepszą zwierzynę, ale obecność lwów im stawała na zawadzie i młodzieńcy poprzestali dziś na skromnym posiłku; ucięli długi, równy kij i zawiesili na nim wędzone swoje mięso ponad ogniskiem.

Para lwów przez cały ten czas siedziała nieruchomo na ziemi w tęp samym miejscu, widocznie niecierpliwie wyczekując nocy w nadziei, że jęj się lepiej powiedzie wśród ciemności. William i Henryk mieli wielką ochotę wystąpić do walki z potężnymi zwierzętami, ale naturalista ich powstrzymywał, przypominając zdanie, powtarzane przez starych i doświadczonych osadników:

— Nie napadaj nigdy lwa chyba z konieczności i omijaj go zawsze zdaleka, o ile możesz.

Lew rzadko bardzo napada człowieka, rada ta jest zatem bardzo roztropna i młodzi myśliwi jęj usłuchali. W tęp nagle nowy widok zwrócił na siebie ich uwagę; dwoje zwierząt ukazało się zdaleka na łące; wzrostu wielkiego osła, sierść miały płową, kształty wysmukłe, chociaż dość silnie były zbudowane. Głowa ich, biała na przodzie, oznaczona była czterma ciemnymi pręgami, co wyglądało nakształt uprzęży. Jedna pręga spuszczała się od czoła prosto na dół, druga przecinała poprzecznie oczy i dochodziła do kątów pyska, trzecia otaczała nozdrza, a czwarta, idąc od uszu, przechodziła przez podgardle, uzupełniając podobieństwo tęj dziwnęj ozdoby do rzemieni uprzęży.

Zwierzęta te miały na grzbiecie czarną pręgę, gęstą grzywę i długi puszysty ogon, także czarny, sięgający do ziemi, ale szczególnie się odznaczały okazałemi rogami. Rogi te były proste, cienkie, w tył zwrócone prawie poziomo, pokryte regular-

nemi obrączkami na ośm lub dziesięć centymetrów od końców, zaostrzonych nakształt dzidy. Rogi te, czarne jak heban i gładkie jak stal, miały około 90 centymetrów długości, i rzecz dziwna, najdłuższe miało mniejsze zwierzę, gdyż była pomiędzy niemi mała różnica wzrostu. Samica lepsze posiadała uzbrojenie od samca, co jest wyjątkowym zjawiskiem w tęp rodzinie zwierząt, gdyż była to para antylop.

Młodzi nasi myśliwi na pierwszy rzut oka rozpoznali antylopę kantarowaną, przez krajowców zwaną *Pazan*, a w języku naukowym *Oryx*, jedno z najpiękniejszych zwierząt Afryki południowęj, a może i całego świata.

V.

Lwy i antylopy.

Na widok antylop, pierwszą myślą naszych myśliwych było szukanie sposobu zdobycia tęj wybornęj zwierzyny. Jakkolwiek pięknie wyglądały te zgrabne stworzenia na łące, woleliby byli je oglądać na roźnie, bo z doświadczenia wiedzieli, że pieczeń antylopy kantarowanęj jest nadzwyczaj smaczna i nie ustępuje żadnęj innęj zwierzynie afrykańskięj.

Myśliwi nasi chciwie połykali slinkę na samą myśl o tęp wykwintnęj pieczeni i gotowi byli opóźnić wieczerzę, byle zamienić suche mięso wędzone na ten smakowity kąsek. Zdjęli więc z rożna na wpół spieczone mięso, opuścili ognisko i wzięli szelby do ręki. Najpierw zaczęli się naradzać, jakim sposobem mieli przystąpić do dzieła. Nie łatwo było zbliżyć się do antylop; zwierzęta te są nadzwyczaj czujne, nigdy nie zbliżają się do żadnęj gęstwiny, do żadnego krzaku, gdzie nieprzyjaciel ukrywać się może; zwykle przebywają na odkrytęp polu. Prawie nie podobna zejść je nieopstrzeżenie i myśliwi zazwyczaj polują na nie konno i ledwie w najszybszym pędzie dosięgnąć ich zdołają. Najdzielniejszy koń nigdy nie dogoni odrazu antylopy kantarowanęj, która pomyka, jak wiatr, po błoniu. Ale dobry jezdziec pędząc za nią wytrwale, zawsze w końcu po pewnym przeciągu czasu ją zmęczy i pokona.

Młodzieńcy nasi chcieli siodłać konie i puszczać się w pogoń za antylopami, ale spostrzegli, że one bieły w tęp stronę, gdzie obóz był rozłożony, postanowili więc czekać, aż się przybliżą same, a bardzo temu byli radzi, gdyż głód im dokuczał, a konie były pomęczone.

Nic w tęp nie było niepodobnego aby ponętna zwierzyna tą razą sama przyszła do strzelców; obóz ich dobrze był ukryty wśród cieniatego ogrodzenia, dym tylko, unoszący się z ogniska, mógł ich

zdradzić, nie powinien był jednak przestraszyć zbyt znacznie antylop. Henryk i William wyobrażali sobie, że zwierzęta są spragnione i zmierzają do jeziora, ale przyrodnik wyprowadził ich z błędu, objaśniając, że antylopa kantarowana nigdy nie pije wody. Dziwne to stworzenie jest jakby umyślnie na to przeznaczone, aby żyło wśród najdzikszej pustyni, gdzie kropli wody znaleźć nie można. Para antylop musiała więc z innych jakichś powodów zmierzać w tę stronę.

W każdym razie zbliżała się coraz więcej do obozu młodych myśliwych, którzy już nie myśleli o siodłaniu koni, bo nie wiele brakowało, do tego aby pożądaną zwierzynę mieli na odległość strzału. Zakradli się więc i ukryli za gromadkę drzew, trzymając broń w pogotowiu i czekali z bijącym sercem zbliżenia antylop.

Biedne zwierzęta nie przewidywały wcale niebezpieczeństwa, które im groziło i biegły ciągle w stronę obozu, nie widząc nic za osłoną ciernistych gałęzi. Trzeba dodać, że biegły za wiatrem, nie mogły więc węchem poczuć nieprzyjaciela i już, już miały osiągnąć miejsca, gdzie kulki naszych myśliwych czyhały na nie.

Ale nie było zapewne ich przeznaczeniem paść z ręki człowieka. Podczas gdy młodzi podróżnicy czatowali na antylopy, odwrócili wzrok od zaczajonych lwów, lecz nowe poruszenie tych zwierząt zwróciło ich uwagę. Lwy spłaszczły się na ziemi, jak gdyby pełzać chciały i chciwie spoglądały na antylopy. One także spostrzegły zdaleka tę zwierzynę i miały zamiar pochwycić ją w biegu.

Jednakże antylopy pędziły w innym kierunku drapieżne zwierzęta nie zdołałyby ich osiągnąć z miejsca, gdzie teraz siedziały; w gonitwie zaś lew nie może z antylopą iść w zawody, gdyż nie odznacza się szybkością biegu, a zdobywcza chwytą zazwyczaj, rzucając się na nią nagłym skokiem. Jeżeli jej nie porwie od razu, nigdy się za nią w pogoń niepuszcza. Musiały więc lwy przybliżyć się niepostrzeżenie, ażeby stanąć na drodze antylop i wszelkich starań dokładały do tego.

Lew samiec zaczął się czołgać po trawie, przytulając się do ziemi tak zupełnie, jak kot, gdy czatuje na wróbla, zatrzymywał się kiedyniekiedy, spoglądając pożądliwie na upragnioną zdobycz, potem znów chyżej posuwał się dalej, pochylając łeb w trawę. Czasem, gdy napotkał kupki krzaków po drodze, podnosił się na na nogi i przebiegał truchtem przestrzeń ukrytą za krzakami, potem znów pełzał po trawie. Dotarł tym sposobem do ogromnego pagórka termitów, stojącego wprost na drodze po której sadyły antylopy; zadowolony widocznie z tego stanowiska zatrzymał się u stóp pagórka i leżał spokojnie, wysuwając ostrożnie

łeb z za tego ukrycia i ciągle spoglądał na biedne zwierzęta, nie przeczuwające obecności tak straszego wroga. Myśliwi nasi, ukryci także za drzewami, widzieli doskonale lwa i mogli śledzić wszystkie jego ruchy.

Ale cóż się stało przez ten czas z lwicą? Ona także opuściła miejsce, gdzie przed chwilą siedziała obok swojego towarzysza, ale teraz nie widziemy jej przy jego boku. Udała się w stronę przeciwną, a młodzi myśliwi, zajęci lwem, stracili z oczu samicę. Ale teraz, gdy lew usadowił się na swoim stanowisku i nie ruszał się z miejsca, szukali jej wzrokiem i ujrzeli ją wkrótce w oddaleniu, pełzającą, tak samo, jak i on, po trawie przemakającą się ostrożnie poza krzakami. Miała widocznie zamiar zakraść się tam aby zagrozić odwrót antylopom od tyłu.

Łatwo było zrozumieć dowcipny manewr drapieżnego stadła. Przed rozłączeniem się, musieli oboje ten plan obmyśleć wspólnie; więc samiec usadowił się na czatach na samej drodze, którą biedz miały antylopy, a lwica przygotowała się na wypadek, gdyby na widok straszego nieprzyjaciela chciały się w tył cofnąć. Tym sposobem zgodna ta para wzięła je niejako we dwa ognie.

Wszystko to bardzo mądrze było ukartowane, młodzi myśliwi zrozumieli od razu, że zdobywcza, na którą sami z takim upragnieniem czyhali, z rąk im się wymyka, niemniej jednakże z nadzwyczajnym zajęciem śledzili oczyma taktykę dwóch olbrzymich kotów, jakgdyby byli świadkami jakiegoś przedstawienia dramatycznego i czekali końca widowiska.

Antylopy zbliżały się szybko do mrówiska, pod którym siedział groźny nieprzyjaciel, biegły lekko i bez obawy, potrząsając kiedy niekiedy puszystymi ogonami, dla opędzania much, które im dokuczały, nie okazywały zresztą najmniejszego niepokoju. Lwica także tymczasem dotarła do miejsca, które sobie obrała za punkt obserwacyjny, gotowa przywitać po swojemu biedne zwierzęta, gdyby się chciały ratować ucieczką.

Gdy antylopy były już niedaleko kryjówki lwa, zwierzę schował starannie łeb za mrowiskiem, nie mógł ich widzieć z tamtąd, ale słuchem śledził zbliżenie swęj zdobyczy. W chwili gdy piękne zwierzęta przebiegały pędem o piętnaście lub dwadzieścia kroków od jego kryjówki, lew zaczął się bić giętkim ogonem po bokach, wyciągnął szyję, wydłużył tułów, który w tej chwili wydawał się dwa razy dłuższy, niż zwykle i rzucił się naprzód, jakgdyby miał skrzydła. Jednym susem przeskoczył odległość, dzielącą go od pierwszej antylopy i spadł na grzbiet przerażonego zwierzęcia. Nagłym uderzeniem potężnych pazurów powalił je na

ziemię, antylopa zgięła kolana, przewróciła się na bok i padła bez życia.

Lew nie myślał gonić za drugą, pochwycił zębami gardło swjej ofiary i zaczął z niej krew wysysać. Był to samiec, który wpadł pierwszy w szpony drapieżnego zwierza, samica, przerażona widokiem lwa, pomknęła jak strzała i myśliwi sądzili, że za chwilę zniknie im z oczu. Ale szlachetne zwierzę nie miało zamiaru opuszczać wiernego towarzysza; gdy pierwsza chwila trwogi przeminęła, samica powróciła do nieprzyjaciela, schyliła łeb aż do ziemi, wyciągając rogi w kierunku poziomym i rzuciła się prosto na lwa. Ten, zajęty krwawą swoją ucztą, nie spostrzegł tego wcale, aż w chwili, gdy dwie ostre włócznie przebiły mu bok prawie na wylot.

Głucha walka wrzała przez czas jakiś pomiędzy lwem i antylopą, ale postawa obojga tych zwierząt była tak dziwna, ruchy ich tak gwałtowne i konwulsyjne, że widzowie nie mogli sobie zdać sprawy, w jaki sposób ta walka się odbywała. Tymczasem ryk lwa ucichł zupełnie i głos odmienny natomiast się odzywał. Wtém lwica poskoczyła szalonym susem, jedném dotknięciem swjej łapy powaliła antylopę i w mgnieniu oka zakończyła walkę.

Straszny ryk lwicy przebił powietrze, jest że to odgłos tryumfu? W tym ryku brzmi jakiś dźwięk dziwny, i w ruchach jęj jest coś niezwykłego. Cemuż lew nieodpowiada towarzyszcze? Nie oderwał on paszczy od gardła pierwszjej antylopy i zdaje się, że nie przestał krwi jęj wysysać. Ale jest nie-ruchomy; żaden muskuł jego nie drgnął za zbliżeniem się lwicy, nawet grzywa opadła bezwładnie. Czyżby potężny zwierz padł pod rogami antylopy?

VI

Lwica rozjuszona.

Oczywiście było w całej tej sprawie coś tajemniczego: lew pozostawał ciągle w tej samjej nieruchomości, a lwica ryczała wściekle i niespokojnym krokiem krążyła dokoła trupów. Zdobycz u nóg jęj leżała, ona jednak nie myślała o jedzeniu. Czyżby samiec sprzeciwiał się temu, zagartując obie antylopy dla siebie?

Zdarza się czasem, że lew stary nie daje rodzinie dotknąć żywności, póki sam nie napasie się do woli, potém dopiero pozwala lwicy i lwiętom dzielić się resztkami. Tu jednak trudno było coś podobnego przypuszczać; zdobycz była obfita i aż nadto starczyła dla obojga. Musiała więc być inna przyczyna, któręj myśliwi nasi odgadnąć nie umieli.

Lwica nie przestawała krążyć naokoło pobo-

jowiska z rykiem żalonym, podobnym do jęku. Kiedyniekiedy pochylała się aż do ziemi i pyskiem dotykała głowy i szyi towarzysza, jak gdyby go tą pieszczotą chciała przebudzić z dziwnego otępienia, ale nie otrzymywała w zamian żadnej odpowiedzi. Młodzieńcy zrozumieli nakoniec, że lew już nie żył tak samo, jak i obie antylopy.

Stwierdziwszy [to odkrycie, zaczęli się naradzać nad tēm, co dalej czynić wypadało. Mieli wielką ochotę przywłaszczyć sobie wyborną zwierzynę ale trudno były zbliżyć się do placu boju, póki tam była lwica rozjuszona. Odpędzić ją było także niepodobieństwem. Straszno było patrzeć, z jaką złością tłukła się w boki ogonem, rzucała rozognionym wzrokiem na wszystkie strony, przeszywając powietrze głuchym rykiem i dając oznaki okropnej boleści. Każdém poruszeniem zdawała się grozić temu ktoby odważył zbliżyć do niej w tej chwili. To tēż młodzi myśliwi nie mieli bynajmniej zamiaru występować z nią do walki, lecz przeciwnie cofnęli się roztropnie do swoich wozów, bo się obawiali, aby zwierz rozwścieczony ich nie spostrzegł i nie rzucił się na nich. Spodziewali się, że lwica i sama w końcu się oddali i wtenczas będą mogli zabrać antylopy.

Ale czas upływał, nie przynosząc żadnej zmiany, lwica ciągle kręciła się w kółko i nie dotykała mięsa antylop, na które tak chciwie czyhała przedtēm. Wyglądała zupełnie, jak ten piesek, co to strzegł wiązki siana, nie jedząc jęj i nie dając jeść innym. Ryki jęj, w których dźwięczała rozpacz zmieszana z wściekłością, nie ustawały ani na chwilę, budząc przerażenie w gromadce wołów i koni. Psy nawet drżały ze strachu i kryły się pod wozami, lub tuliły u kolan swych panów. A jednak wierne i posłuszne zwierzęta byłyby się z pewnością rzuciły na lwicę, gdyby panowie ich byli tego wymagali po nich. Lecz ci wiedzieli dobrze, iż pies najsilniejszy w obec rozjuszonego lwa słabszy jest od drobnej myszki, drżącęj pod pazurami kota i wcale nie mieli ochoty pocziwe swoje pieski skazywać na śmierć nieuniknioną.

Po długim oczekiwaniu, pewni że lwica nie odejdzie prędko od trupa towarzysza przestali liczyć na świeże zwierzynę i znowu z rezygnacją zawiesili wędzone mięso nad ogniskiem. Zaledwie rozpoczęli skromną wieczerzę, gdy ujszeli nowych przybyszów, zbliżających się do pobojujowiska. Kilka hyen ukazało się zdaleka na błoni, było ich z pięć lub sześć, nie więcej, a chociaż trzymały się w pewnym oddaleniu od trupów, strzeżonych przez lwicę, z pożądlivych ich spostrzeżeń widać było, jaką, miały chętkę, na tę ucztę.

Widok tych wstrętnych zwierząt zmienił położenie rzeczy i wpłynął na dalsze postanowienia na-

zych myśliwych. Gdyby lwica dopuściła tylko
yeny do dwóch antylop, nie zostałyby z nich
ni kawałeczka, a chociaż młodzieńcy wyrzekli się
aż na dziś tej smakowitej pieczeni, liczyli jednak
a nią na jutro. Należało więc koniecznie obmyś-
ć jakiś sposób nie dopuszczenia obrzydłych hyen
o niej. Ale nie łatwa to była sprawa.

(D. c. n.).

S Z A R A D A (Rózia D.).

By czytać, pisać, rozumieć,
Trzeba najpierw *pierwsze* umieć;
By zaś śpiewać albo grać,
Trzeba najprzód *trzecie* znać;
Bo to *pierwsze* w alfabecie,
A w muzyce nutą *trzecie*;
Znać je mało albo źle,
Końca nauk nie dojdziecie.
Drugie zawsze powie „nie“;
Wszystko: imię — czy zgadniecie?

Łamigłówka zgłoskowa (K. A. Z.).

Z następujących zgłosek: aar—dorf—e—c—gau
—jan—kiel—la—le—le—li—mud—no—na—o—
a—ra—rew—ret—reg—sa—tal—to—tra—twos—
wa—za, ułożyć 11 wyrazów, których początkowe
litery i końcowe, czytane od góry do dołu, utworzą
nazwiska dwóch sławnych wojowników z XVII-go
wieku.

- 1) Naród mieszkający niegdyś nad Bałtykiem.
- 2) Jeden z kantonów Szwajcaryi.
- 3) Pseudonim jednego ze współczesnych pisa-
zy.
- 4) Nazwa szpitala.
- 5) Imię żeńskie.
- 6) Rzeka w Polsce.
- 7) Środek używany do fabrykacji prochu.
- 8) Księga hebrajska.
- 9) Nazwa jednej z dziewięciu muz.
- 10) Osoba występująca w poemacie Pan Tadeusz.
- 11) Źródła siarczane w księstwie Hessen-Kassel.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

Łamigłówki głoskowej:

Ujął ją sen żelazny, twardy, nieprzespany,
Już letniczek pisany,
I uploteczki w niwecz i piaski złoczone,
Matczyne dary płonne.

Łamigłówki w kwadraciku.

K	O	R	A
O	P	A	L
R	A	M	A
A	L	A	N

Odpowiedzi od Redakcyi.

Stasi, Polci i Mani R. w Boratynie. Tak już nawykliśmy od-
bierać od wszystkich młodziutkich korespondentów naszych ży-
cziwe i miłe liściki, że ten jedyny... niezbyt uprzejmy, troszkę
nas zadziwił. Zwracamy więc uwagę piszących, że zarzuty,
choćby najślusniejsze, zwłaszcza jeśli są do osób starszych
zwracane, powinny być wypowiedziane oględnie i w wyrazach
właściwych. Sami już spostrześliśmy, że w ostatnich N-rach
naszego Pisma wkradło się parę drobnych omyłek w łamigłów-
kach i nie omieszkamy zapobiedz temu na przyszłość. Gdyby
kochane korespondentki nasze mogły odgadnąć smutną przyczy-
nę tego chwilowego nieporządku, pewnieby pożałowały swojego
pośpiechu. Tymczasem domagamy się koniecznie drugiego
liściku, któryby zatarł nie miłe wrażenie poprzedniego; prosimy
o wiadomość, która z komedijek naszych z takim powodzeniem
była odegrana.

Karolci Gr. w Józków Rogu. Serdecznie dziękujemy za tro-
skliwość i śpieszymy donieść, że choroba, która kochaną naszą
korespondentkę zaniepokoiła, już prawie przemigła. Ale co to
znaczy, że od tak dawna nie otrzymujemy już tych wybornych
łamigłówek, *kryptografów*, *Tajemniczych głosek* i t. d. które da-
wniej często nadchodziły z wielkim pożytkiem dla Pisemka i do-
godnością dla nas. Nie wszyscy czytelnicy tak uważnie i umie-
jtnie układają nadsyłane do naszej redakcyi łamigłówki, musi-
my je nieraz z wielkim mozolem przerabiać i poprawiać; a jeśli
się czasem jaka omyłka prześlepi, wywołuje to zaraz burzę ze
strony czytelników, którzy nie chcą sobie na darmo główek ła-
uać. Polecamy się zatem pamięci tych współpracowników,
którzy układają dowcipne zagadki ze znajomością rzeczy.

Dr. P. w Tobolskiej gub. Z otrzymanych 10 rs. pięć według
żądania oddaliśmy na pomnik Mickiewicza, a pięć wrzuciliśmy
do puszeki Towarzystwa Ś-go Wincentego, które wspiera ubogich
dotkniętych najcięższą nędzą.

Edmundowi K. Dziękujemy bardzo za łamigłówki; wszystkie
są dobrze ułożone i będą niezadługo drukowane. Prosimy o dal-
sze współpracownictwo.

Marysieńce W. w Swojczanach. Bardzo to pochlebnie dla
Kazia, że listy jego do siostrzyczki takie wzbudzają zajęcie, mo-
żeby jednak mniej się podobały, gdyby były zbyt częste. Ser-
decznie dziękujemy za miły liścik, a zwłaszcza za nazwę „kocha-
nych“, nadaną naszym *Wieczorom*. Żądany arkusz powiastki
odsyłamy wraz z N-em Pisma. Takim uprzejmym czytelnikom
odmawiać nie możemy drobnej dogodności.

Mieczysłowi V. ulicy Pięknej. Serdecznie dziękujemy za ży-
czenia i za przychylność dla *Wieczorów*. Otwartość piękna jest
cnotą i nie możemy jej dość zalecić, przyzna więc zapewne wycho-
wany w tych zasadach miły nasz czytelnik, że liścik jego był
dyktowany przez starszą osobę. Spostrześliśmy sami niewłaściwy
wyraz w łamigłówce, lecz dopiero po wydrukowaniu, jak się to
nieraz zdarza we wszelkich tego rodzaju omyłkach, których
w ogóle unikać się staramy i starać będziemy.

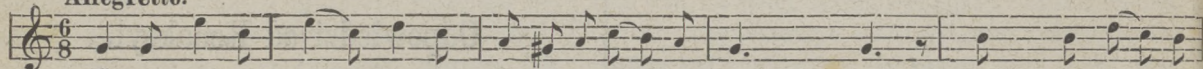
NA WIOSNĘ.

SŁOWA

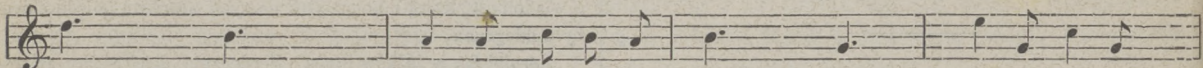
J. Lenartowicza.

Muzyka J. Czubskiego.

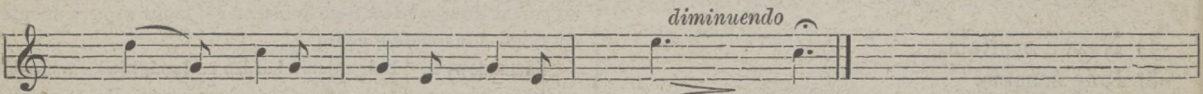
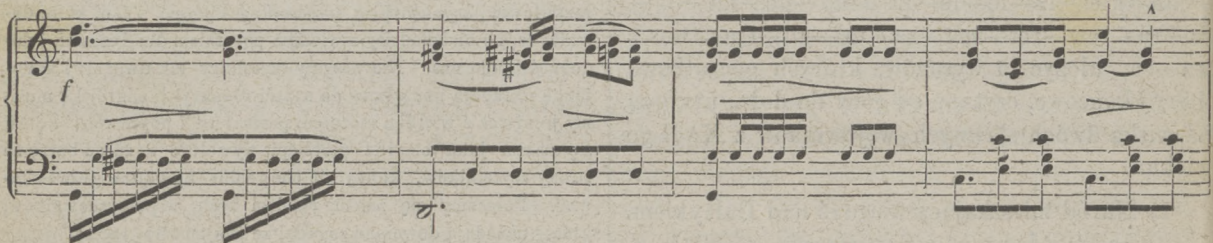
Allegretto.



1. Wszę-dzie mi - ło we - so - ło zie - le - nić się za - czy - na, A przy dro - gach
2. Sko - wro - ne - czek gdzieś w chmu-rze przy-śpie-wu - je ra - do - śnie, Kwi - tną li - lie
3. A na ro - li dzie - we - czki rwą o - stróż - ki, kwia - te - czki, Zwi - ja - ją wia -



1. wko - ło kwi - tnie bia - ła - tar - ni - na, Ja - skó - ła - czka
2. ró - że, dzie - ciół ku - je na sos - nie, " " " "
3. ne - czki dla - Naj - świętszej Ma - te - czki. " " " "



1. mchu szu-ka, ku - ku - ła-czka ku - ka.
2. " " " " " " " "
3. " " " " " " " "

